

Tomasz Merta: Konserwatyzm na manowcach

To Nietzsche nauczył ich widzieć jasno wszystkie oznaki współczesnego kulturowego i politycznego kryzysu, to on przekonał ich, że nie ma istoty bardziej godnej pogardy od „ostatniego człowieka”, który „wszystko zdrabnia”



To Nietzsche nauczył ich widzieć jasno wszystkie oznaki współczesnego kulturowego i politycznego kryzysu, to on przekonał ich, że nie ma istoty bardziej godnej pogardy od „ostatniego człowieka”, który „wszystko zdrabnia”. Najbardziej chyba brakowało im poczucia humoru. Właściwie nie należy się temu dziwić – trudno o uśmiech w chwili śmiertelnego zagrożenia, w momencie, gdy rozstrzygają się losy świata. Niemieccy rewolucyjni konserwatyści – bracia Jüngerowie, Carl Schmitt, Edgar Julius Jung, Hans Freyer, Arthur Moeller van den Bruck, Ernst Niekisch, żeby wymienić tylko najślawniejszych – tak właśnie pojmowali moment dziejowy, w jakim przyszło im żyć: jako ostateczne zmaganie z nierealnością, która niepostrzeżenie opanowała cały świat. Wszystko, co ważne zostało zapomniane i utracone, skarłały idee, a wraz z nimi skarleli i ludzie, przemienieni z nieustraszonych wojowników w tępo zadowoloną masę niewolników techniki. Przed Europą otworzyła się przepaść ubóstwionego mieszczaństwa i przemysłowego społeczeństwa i oto niemal wszyscy bez wahania zdecydowali się w nią skoczyć, szukając komfortu, materialnego bezpieczeństwa, spokoju. Ludzie utracili samozachowawczy instynkt, choć wydawało im się, że to właśnie on nimi dalej kieruje – porzucili ideę niebezpiecznego życia, nie wiedząc, że jego alternatywą nie jest wcale życie bezpieczne, lecz śmierć za życia. Tak postrzegając rzeczywistość, rewolucyjni konserwatyści poruszali się więc w świecie zaludnianym przez zombie nieświadomych, że ich wygodne i bez troski życie jest tylko pozorem.

Marzyli o wielkim przełomie, o nowym początku, ale najwięcej miejsca zabierało im rozważanie kosztów, jakie przy tej okazji przyjdzie ponieść. W tej fascynacji „bólami porodowymi”, krwią i przemocą, które miały umożliwić odrodzenie świata, z pewnością było coś niezdrowego. Tym bardziej, że wiedzieli, o czym piszą. Nie był to przypadek niefrasobliwego intelektualisty, który kreśli apokaliptyczne wizje, siedząc w ciepłych kapciach w komfortowym gabinecie. Przemoc nie była dla nich senną fantazją, pokłosiem lektury kroniki kryminalnej w brukowej gazecie, ale namacalnym doświadczeniem. W żadnym razie przecież nie zapomnieli krwawej hekatombi I wojny światowej, a życie w powojennych Niemczech bardzo było odległe od idylli.

Zabójstwa polityków, krwawo tłumione demonstracje, walki partyjnych bojówek – brutalna codzienność republiki weimarskiej do pewnego stopnia wyjaśnia radykalizm rewolucyjnych konserwatystów. Trudno jednak uznać, że jest to wyjaśnienie w pełni wystarczające.

Tym bardziej, że rewolucyjnym konserwatystom często stawiany jest niezwykle poważny zarzut: że są intelektualnie odpowiedzialni za zwycięstwo nazizmu w Niemczech. Rzecz, oczywiście, nie w politycznym zaangażowaniu – tylko nieliczni spośród nich czynnie popierali Hitlera, a jeśli w okresie III Rzeszy pełnili jakieś funkcje bądź byli po prostu jej lojalnymi obywatelami, działo się tak (rzecz może wstydliva, lecz przecież częsta) na skutek konformizmu, a nie poczucia ideologicznego pokrewieństwa. Konformizm ich nie uniewinnia, ale każe oskarżać z innego (chyba lżejszego) paragrafu. Z pewnością nie byli też rewolucyjni konserwatyści nauczycielami ideologów NSDAP – ich subtelne filozoficzne dystynkcje mało obchodziły tych, którzy mieli do przekazania bardzo proste, choć mocne przesłanie. Czy jednak za pomocą swoich analiz nie wpłynęli na ukształtowanie się w Niemczech weimarskich sprzyjającego dla faszyzmu klimatu intelektualnego? Czy to nie oni użyczyli nazistom języka, z pomocą którego prymitywne idee zyskały prawo obywatelstwa na salonach? Czy to nie ich literacki i filozoficzny kunszt – zabójczo logiczne treści podane w pięknej i urokliwej formie – uczynił zbrodnię pociągającą, a tym samym łatwiejszą do popelnienia?

Na tak sformułowane pytanie trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć – bliskość idei faszystowskich i tych głoszonych przez rewolucyjnych konserwatystów jest faktem trudnym do zakwestionowania. Może być jednak i tak, że płomienne wystąpienia niemieckich konserwatystów w nikłym stopniu kształtowały intelektualną atmosferę – możliwe, że jedynie odzwierciedlały dominujące w tym czasie nastroje, obawy i nadzieje: rozczarowanie miałością demokracji parlamentarnej, która ideał rozumnej debaty przemieniła w żalosny partyjny jazgot, lęk przed ostateczną kulturową zapaścią, fascynacja triumfem bolszewików. Niezależnie jednak od tego, czy związek konserwatyzmu z faszyzmem był burzliwym romansem czy jedynie platonicznym flirtem, naprawdę ważne pozostaje jedno pytanie: jak to w ogóle było możliwe? Jak to się stało, że rozumna idea konserwatywna znalazła się tak blisko politycznego szaleństwa? Gdzie tkwił błąd? Czy w samych konserwatywnych założeniach? W okolicznościach? I tak źle, i tak niedobrze. Jeśli bowiem konserwatyzm jest stylem myślenia wyłącznie na spokojne czasy, a w momentach kryzysu łatwo popelnia grzechy przeciw politycznej roztropności, to niewiele przecież jest wart.

Wydany ostatnio reprezentatywny wybór esejów „Rewolucja konserwatywna w Niemczech 1918-1933”, w znakomitym opracowaniu Wojciecha Kunickiego, dostarcza dobrej okazji, by pokusić się o konserwatywny rachunek sumienia i rozstrzygnąć, czy rewolucyjny konserwatyzm jest ozdobą czy też chwastem w konserwatywnym ogrodzie. Niewątpliwie rewolucyjni konserwatyści pozostają w odwiecznym kręgu konserwatywnych tematów. Ich analizy słabości państwa, które przemieniło się w nieodpowiedzialną spółkę partyjną, autonomizacji techniki, destrukcyjnych efektów ekspansji masowego społeczeństwa przemysłowego (H. Freyer: „Nie ulega wątpliwości, że pierwsze kroki rozwoju przemysłowego zniszczyły wartościowe elementy dawnego ładu i jego człowieczeństwa. Rozwój ten wtargnął do spokojnych wiosek, zepsuł architekturę miast, zhańbił krajobrazy, zaatakował dom i rodzinę, wykorzystał człowieka, wykorzystał obyczaje, wykorzystał ducha”), zawłaszczania sfery politycznej przez ekonomię (F. G. Jünger: „Przerabiając powiedzenie Napoleona stosownie do okoliczności, utożsamili oni gospodarkę z losem, przynajmniej tym samym, że państwo jest już tylko fasadą, narzędziem w rękach anonimowych i nieuchwytnych sił gospodarczych, które kierują nim za pośrednictwem swoich dyrektorów, syndyków oraz sekretarzy związków zawodowych i traktują je jako dobry łup”) do dziś uderzają swoją trafnością. Lęki, które dręczą rewolucyjnych konserwatystów też są dobrze znane i wielokrotnie już były opisywane – to strach przed obumieraniem wspólnoty politycznej i możliwym jej rozpadem, strach przed anomią i redukcją człowieczeństwa do poziomu zwierzęcych instynktów, strach przed światem odwartościowanym, światem, z którego wygnano wielkość, cnotę i prawdę, zastępując je ersatzami statystyki, pozytywnego prawa i tanią mądrością codziennej gazety.

Rzecz więc chyba nie w diagnozie, lecz raczej w proponowanych remediach. Rewolucyjni konserwatyści nie są tradycjonalistami, którym marzy się powrót do tego, co było. Uczestniczyli w pogrzebie tradycji i nie wierzą – nieodrodni synowie sceptycznego wieku – w możliwość jej zmartwychwstania. Ciągłość została zerwana i kto próbuje związać to, czego związać się nie da, jest szaleńcem lub głupcem. Nie idzie już zatem o przywrócenie tego, co było, lecz o ustanowienie nowego porządku, porządku, który nie będzie się wspierał na prawie boskim czy na tradycji, ale jedynie na skoncentrowanej i zmobilizowanej wspólnotowej woli. Parafrazując często używane i nadużywane określenie, można by powiedzieć, że myślenie rewolucyjnych konserwatystów jest bezpośrednim skutkiem „Nietzscheańskiego ukąszenia”. To Nietzsche nauczył ich widzieć jasno wszystkie oznaki współczesnego kulturowego i politycznego kryzysu, to on przekonał ich, że nie ma istoty bardziej godnej

pogardy od „ostatniego człowieka”, który „wszystko zdrabnia”. To on wreszcie dowodził, że pozostała tylko jedna możliwa do zaakceptowania droga – i że mieści się ona „poza dobrem i złem”.

Nietzsche, choć w jego kategoriach sądbych pobrzmiewają konserwatywne nuty, jest jednak fałszywym sprzymierzeńcem konserwatystów. Wiedzie ich na manowce, bo już wkrótce okaże się przecież, że wzniesienie „poza dobrem i złem” w praktyce zmienia się w przyziemne i groźne „poza dobrem”. Konserwatyzm, który utracił wszelkie układy odniesienia, który pogrzebał tradycję, obwieścił nieadekwatność bądź nieprawdziwość religii, który wreszcie odrzucił to, co „jest fundamentem filozofii politycznej – ideę dobra – jest już tylko uzurpatorem, trudnym do zdemaskowania, bo wciąż chadzającym w konserwatywnym przebraniu”.

Przyjrzyjmy się jednak dokładniej owemu przebraniu. Rewolucyjni konserwatyści chcą odrodzenia państwa, lecz to nowe państwo ma być nie sługą obywateli ani nawet nie ich wychowawcą, ale wszechwładnym panem. „Tu głosi się życie jako przyjemność i wartość nad wszystko cenną – oskarżał będzie F. G. Jünger – tu byt uznaje się za dobro najwyższe, odmawiając państwu prawa do tego, by w ofierze składało ludzi przynależnych sobie. Świętym obowiązkiem nacjonalizmu jest wytępić ten smutny hedonizm i unieszkodliwić jego przedstawicieli, którzy pilnie starają się zdradę kraju podnieść do rangi idei moralnej”. Nie negują demokracji, ale tak naprawdę nie szukają dróg jej naprawy i uszlachetnienia, lecz totalnego jej przekształcenia. „Proces dalszego rozwoju demokracji – dowodzi F. G. Jünger – jest równoznaczny z deparlamentaryzacją zasady demokratycznej. Już dziś manifestuje się ona w tym, że coraz większą wagę zyskuje problem przywództwa i posłuszeństwa. Demokracja funkcjonalna coraz bardziej zmienia się w demokrację wodzowską”. W myśleniu rewolucyjnych konserwatystów ważną rolę odgrywa idea wspólnoty, lecz ulega ona niepokojącej radykalizacji i dziwnemu przekształceniu. Nie idzie już bowiem wcale o poczucie przynależności do wspólnoty, o lojalność wobec niej, o świadomość związku istniejącego między dobrem całości i dobrem tworzących ją części, ale o zupełne roztopienie się we wspólnocie, o całkowite podporządkowanie. Konserwatyzm sprzymierzony z kolektywizmem, wierzący, że życie jest walką, nadzieję pokłada w totalnej mobilizacji, w zorganizowaniu całego narodu na wzór oddziału wojska, który w wojennej potrzebie odnajduje sens swego istnienia w męskiej solidarności, w instynktownym wspólnotowym działaniu prowadzącym do ekstatycznego spotęgowania woli. Idzie o wytworzenie takiego stanu świadomości, w którym obowiązek staje się jedyną wartością, a poświęcenie odruchem. „Szczęście nie polega na wolnym wyborze: tkwi w uległości, w woli służenia, w sile własnego serca, które kocha, gdy tylko zezwoli mu się kochać”, twierdzi R. Schneider.

Ich teksty do dziś nie utraciły swej zniewalającej mocy. Lektura antologii „Rewolucja konserwatywna w Niemczech 1918-1933” dobitnie o tym przekonuje. Nic dziwnego więc, że budzą zaniepokojenie (choć ostatnimi czasy zdaje się przybierać ono w Polsce formy cokolwiek chorobliwe). Jest w nich jednak jakiś nieludzki chłód, który tyleż przyciąga, co odstręcza. Podobnie odstręcza programowy antychrześcijaizm, pokrętny mistycyzm walki (konserwatysta z pewnością nie dzieli liberalnych złudzeń co do możliwości ustanowienia stanu powszechnego pokoju, w żadnym razie nie znaczy to jednak, że uznaje wojskowe buty i karabin maszynowy za najdoskonalsze twory ludzkiego ducha), nade wszystko zaś hiperradykalizm.

Pierwszą rzeczą, którą uczynił ów hiperradykalizm, objąwszy władzę nad krainą niemieckich konserwatywnych wyobrażeń, było skazanie na banicję cnoty umiaru. Dlatego też, jeśli już polski konserwatysta wybiera się tam z wizytą, niech zaopatrzy się w żelazną rację rozwagi, umiarkowania i ironii.

I niech pamięta, by za bardzo się nie zasiedzieć.

Tomasz Merta

Tekst pochodzi z książki "Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane"